

Latynoskie demony przeszłości

16 lipca 2009

Wojskowi szturmują rezydencję prezydenta, wyprowadzają siłą przywódcę odzianego ledwie w pidżamę, po czym wysyłają go za granicę. Kieruje nimi generał, zdymisjonowany cztery dni wcześniej, a który dziś działa z mocy decyzji Sądu Najwyższego oraz parlamentu. Organy te szybko zaprzysięgają nową głowę państwa. Ludzie zaczynają wychodzić na ulicę, a nagłówki prasowe krzyczą „zamach stanu!”. Zostaje wprowadzona godzina policyjna, nowi władcy zamykają nieprzychylne im media, dochodzi do pierwszych starć. Świat wyraża oburzenie zachowaniem rządu.

Obalony prezydent próbuje wrócić do kraju, lecz zostaje powstrzymany przez wojsko. Zapowiada, że następnym razem może skoczyć ze spadochronem, jeśli będzie to jedyne wyjście by powrócić do ojczyzny. W walkach jego zwolenników z wojskiem padają pierwsze ofiary śmiertelne. I to wszystko dzieje się zaledwie w kilka dni.

Opis sytuacji brzmi jak historia zamachu stanu rodem czasów z Zimnej Wojny lub scenariusz filmu akcji, prawda? Jest to jednak bardzo telegraficzny skrót prawdziwych wydarzeń, które rozpoczęły się 28 czerwca 2009 roku. Prezydentem jest Manuel Zelaya, generałem Romeo Vasquez, nowym liderem państwa Roberto Micheletti, a ów kraj to Honduras. Ma tam miejsce zamach stanu, który zwrócił uwagę całego świata, ale przez niektórych wcale nie jest nazywany przewrotem...

ISKRA...

W mediach można znaleźć liczne informacje dotyczące wydarzeń w Hondurasie po 28 czerwca. Chwytliwe określenie „zamach stanu” przyciąga uwagę. I jak to często bywa, w przypadku tak „gorących tematów”, brakuje miejsca na analizę genezy i natury konfliktu.

U podstaw dzisiejszego kryzysu w Hondurasie leży jego... konstytucja. Spisany w 1982 roku dokument należy do najbardziej nieprzejrzystych i zagmatwanych na świecie, zawiera dziesiątki poprawek. Jedną z głównych cech honduraskiej konstytucji jest jej nacisk na ograniczenie kadencji prezydenckiej do jedyniej i tylko czteroletniej. Dodano tam także wiele klauzul, które chronią poszczególne artykuły przed jakąkolwiek zmianą. W rezultacie, jedynym sposobem na zmodyfikowanie tych regulacji jest uchwalenie nowej konstytucji.

Skąd takie categoryczne podejście do ograniczenia ilości prezydenckiej kadencji? Honduras, podobnie jak inne latynoskie państwa, doświadczył wielu lat rządów brutalnych dyktatorów. Wśród krajów o takiej historii powszechny jest strach przed autorytaryzmem i tak zwanym continuismo. Jest to hiszpańskie określenie na skłonność latynoskich przywódców do przedłużania okresu swoich rządów. Obecnie przedstawicielem tego trendu jest Hugo Chavez z Wenezueli. Problemy zaczęły się, gdy Manuel Zelaya zapragnął pójść w jego ślady.

...ZAPALNIK...

Zelaya, jako członek obozu liberałów, prezydentem został w 2006 roku. Biznesmen i właściciel ziemski, z czasem zaczął coraz bardziej skręcać na lewo i zbliżać się do linii politycznej wenezuelskiego przywódcy. Ich zażyłość doprowadziła do tego, że Honduras w 2008 roku, ku niezadowoleniu USA, dołączył do Boliwariańskiej Alternatywy dla Ameryki (ALBA), bloku lewicowych państw „pod wezwaniem” Chaveza.

Pomimo wprowadzanych reform społecznych, które były ukłonem Zelayi w kierunku najbiedniejszych obywateli Hondurasu, jego popularność spadła poniżej 30 procent. Odwrócił się od niego liberalny elektorat, który czuł się oszukany jego nagłą zmianą frontu. Poziom bezrobocia (około 28 proc.) i przestępczości (jeden z najwyższych na świecie) nie malały.

Zelaya popadł także w konflikt z mediami. W 2007 roku wymusił emisję cyklu 2-godzinnych programów rządowych „w celu przeciwdziałania dezinformacji” oraz wprowadził ograniczoną cenzurę. W trakcie jego rządów w tajemniczych okolicznościach zginęło kilku opozycyjnych dziennikarzy. Napięte stosunki panowały także między prezydentem a Sądem Najwyższym oraz parlamentem, zwanym Kongresem. Instytucje te zarzucały mu nadużywanie władzy oraz skłonności do autorytaryzmu.

Wodą na młyn krytyki było zaplanowanie przez Zalayę referendum narodowego dotyczącego reformy konstytucji. Miało się odbyć 28 czerwca 2009 roku. Prezydent utrzymywał, że zmiany są konieczne dla zwiększenia skuteczności walki z przestępczością, szczególnie z przemytnikami oraz dla poprawy opłakanej sytuacji gospodarczej kraju, w którym blisko 70 proc. obywateli żyje w biedzie.

Jego przeciwnicy zarzucili mu, że taki plebiscyt posłużyć ma głównie pozbyciu się krępującego zapisu o pojedynczej kadencji. Mandat Zalayi, gdyby nie został obalony, skończyłby się w 2010 roku. Opozycja przypuszczała niezbiecie, że bardzo chętnie zatrzyma on urząd na kolejne cztery lata oraz będzie próbował zwiększyć swoją władzę innymi modyfikacjami prawa. Silny wpływ, jaki Hugo Chavez wywierał na Honduranina, umacniał obawy o taki scenariusz.

...I POŻAR

Zwołanie konstytuandy, czyli organu uchwalającego konstytucję, jest jednakże zadaniem parlamentu. Wobec tego rozmaite instytucje państwowe, z Sądem Najwyższym na czele, uznały akcje prezydenta za niezgodne z prawem. Ponadto uchwalono, iż nie można przeprowadzać żadnego referendum w okresie 180 dni przed i po wyborach. Elekcje prezydenckie zaplanowane są na listopad, zatem ustawa mocno godziła w plany głowy państwa. By obejść tę zasadę, 23 czerwca Zaleya przemianował referendum na „niewiążącą ankietę” bez mocy prawnej. Obywatele mieliby się w niej wypowiedzieć, czy zgodziliby się na ewentualną zmianę

konstytucji. W tym momencie sytuacja zaczęła przypominać szkolną przepychankę.

Ponieważ Sąd nadal uważa kroki prezydenta za nielegalne, Zelaya prosi wojsko o pomoc w organizacji głosowania. Parlament zakazuje siłom zbrojnym udzielania asysty głowie państwa, za co ten dymisjonuje głównodowodzącego armii, generała Romeo Vasqueza. Sąd i Prokurator Generalny uznają dymisję za nieważną i nakazują odwołanie jej, prezydent żądanie odrzuca i rozprowadza karty do głosowania przy pomocy swoich zwolenników. Parlament i wojsko dyskutują nad możliwością usunięcia Zelayi z urzędu, ten oskarża ich o planowanie zamachu stanu.

No i się doczekał.

„OJ, TY NIEDOBRY HONDURASIE!”

Rankiem 28 czerwca oddziały generała Vasqueza wsadziły Zelayę do samolotu wojskowego i wysłały na Kostarykę. Dalsze wydarzenia na bieżąco śledzić można było w doniesieniach prasowych, a w skrócie zostały przytoczone na początku tekstu.

Dużą uwagę media poświęciły zdecydowanej reakcji społeczności międzynarodowej. Tej samej, która na sfałszowane wybory w Iranie i brutalne represje wobec tysięcy Irańczyków, nawoływała w komentarzach o umiarkowanie. Widocznie „zamach stanu” brzmi groźniej niż „sfałszowane wybory”...

W przypadku kryzysu w Hondurasie reakcja była niespotykane ostra i jednogłówna. ONZ i Organizacja Państw Afrykańskich błyskawicznie potępiły zmianę władzy. ALBA z Chavezem na czele rzucała gromy i groźby. Wenezuela zakreśliła kurek z ropą, Bank Światowy i międzyamerykański odpowiednik zamroziły kredyty i pomoc finansową. Honduras 4 lipca wystąpił z OPA, uprzedzając dyscyplinarne usunięcie z organizacji, za niespełnienie warunków 3-dniowego ultimatum, domagającego się prawa do powrotu dla Zelayi.

Nawet Stany Zjednoczone, które z pozbycia się lewicowego lidera w pobliskim państwie teoretycznie powinny się cieszyć, uznały nowy rząd za nielegalny. I wycofały część wsparcia finansowego.

I w sumie, taka reakcja nie powinna dziwić. Nikt nie chce wspierać praktyki zamachu stanu, która mogłaby kiedyś być wykorzystana przeciwko niemu. Ponadto, to nie są czasy Zimnej Wojny, gdy popieranie puczków było metodą walki o wpływy między supermocarstwami. Demokratycznie wybrany prezydent został siłą pozbawiony urzędu, wobec czego sytuacja wydaje się jasna – trzeba to potępić. Jednak gdy tę argumentację zestawia się z pozycją nowego honduraskiego rządu oraz prawem, to sprawa staje się znacznie bardziej skomplikowana. A ów rząd uważa, że... zamachu stanu nie było.

NO TO BYŁ TEN ZAMACH CZY NIE?!

W ogólnym znaczeniu, zamach stanu jest nielegalnym przejęciem władzy państwie, zazwyczaj z pomocą armii oraz zastąpienie poprzedniego rządu nowym, wojskowym lub cywilnym. W honduraskim przypadku sytuacja jest taka, że siły zbrojne działały z polecenia Sądu Najwyższego, a władzy pozbawieni zostali tylko Zelaya i paru ministrów. Co więcej, Sąd utrzymuje, iż obalenie prezydenta było legalne.

Honduraska konstytucja w artykule 239. mówi o tym, że osoba, która nawołuje do zmiany zapisu o ograniczenia do jednej kadencji, lub narusza go, zostanie pozbawiona stanowiska i nie będzie mogła pełnić funkcji publicznych przez 10 lat. Jest to kolejne „zabezpieczenie antydyktatorskie”. Zapis ten podawany jest w uzasadnieniu decyzji Sądu. Zelaya miał złamać to surowe prawo.

Jednakże w niedawno opublikowanym akcie oskarżenia Zelaya Sąd Najwyższy podał, że powodem obalenia głowy państwa jest wielokrotne łamanie prawa.

Taki akt oskarżenia nie jest dobrą podstawą dla siłowego

obalenia prezydenta, nawet przy tak skonstruowanej konstytucji. W normalnym państwie przy takich zarzutach, należy postawić polityka przed sądem i zacząć dochodzenie, a nie wsadzać go na pokład wojskowego samolotu i wysyłać na wakacje z biletem w jedną stronę. Notabene, robiąc to, przeciwnicy Zelayi także działali sprzecznie z konstytucją, gdyż stwierdza ona, iż obywatela nie można wyrzucić z kraju i zabronić mu powrotu.

Dlaczego zatem Sąd nie oskarży byłego prezydenta bezpośrednio o złamanie artykułu 239? Ponieważ nie ma wystarczającego dowodu na to, by dowieść, że Zelaya przepis ów faktycznie naruszył. Referendum, które obalony przywódca chciał zorganizować, dotyczyło wszak powołania konstytuandy do zmiany konstytucji, a nie jej zmodyfikowań w określony przed głosowaniem sposób. I chociaż jego przeciwnicy mają wiele powodów by podejrzewać Zaleę o chęć ubiegania się o reelekcję, są to nadal tylko przypuszczenia. Podejrzenia są kiepskim uzasadnieniem dla zamachu stanu, toteż legalność akcji Sądu jest wątpliwa.

Intencje prezydenta są tu wielką niewiadomą. Kilka dni po zamachu oświadczył, że po powrocie do kraju zrezygnuje ze swojego pomysłu zmiany konstytucji. Oznaczyłoby to, że godzi się z pożegnaniem się ze stanowiskiem głowy państwa pod koniec 2009 roku. Zaprzeczałoby to jego rzekomym autorytarnym zapędem. Jednak czy faktycznie tak zrobiłby, to już inna kwestia...

Jedno jest pewne: przebywając na wygnaniu i mając poparcie międzynarodowe, korzystniejsze dla niego jest granie ofiary puczystów, stworzenie wizerunku ugodowego polityka bez tendencji dyktatorskich, niż obstawać za kontrowersyjnym referendum, oraz za „niewiązącą ankietą”.

Prawnicy będą się zapewne jeszcze długo o to spierać, ale nie ulega wątpliwości, że nagłe zmiany w Hondurasie noszą silne znamiona zamachu stanu.

BY ROBIĆ PRZEWROTY, TO TRZEBA UMIEĆ

Zastanawiająca jest inna kwestia: dlaczego przeciwnicy prezydenta zdecydowali się na pucz wojskowy? I dlaczego zrobili to w taki sposób?

Zelaya prezydentem doskonałym nie był, co odzwierciedlały badania opinii publicznej przed czerwcem. Widać to było także tuż po zamachu, gdy na ulicę wyszły tysiące zwolenników... jego obalenia. Tłum machał flagami ze sloganami typu „nie chcemy być Kubą!” Grupy poparcia dla obalonego były stosunkowo nieliczne.

Ponadto, Zelaya nie był szczególnie popularny wśród możnych tego świata oraz mediów, podobnie zresztą jak większość lewicowych polityków z Ameryki Południowej.

Zelayę można było próbować pokazać światowej opinii publicznej jako raczkującego dyktatora, antyamerykańskiego narwańca, który brata się z Chavezem. Parlament mógł mu utrudniać życie negując każdą jego inicjatywę, a opozycyjne media mogły mu robić czarny PR. Nawet jeśli mógłby ubiegać się o nieograniczoną ilość kadencji, w listopadowych wyborach prawdopodobnie by przegrał. Gdyby jednak chciałby zagarnąć władzę siłą, jak na prawdziwego caudillo przystało, to wojsko nie było po jego stronie, co aktualny przewrót potwierdza. Zamachowcy mogli wykorzystać to, że obywatele Zelayę coraz mniej lubią.

Ten zamach stanu mógł wyglądać jak próba ratowania kraju z rąk „czerwonego autokraty”. Wiele państw by to przyjęło, podobnie jak znaczna część obywateli Hondurasu. Jego przeciwnicy zdecydowali się jednak postąpić inaczej.

Bez dyplomatycznej gracji wyrzucili Zaleę do Kostaryki, natychmiast mianowali pełniącego obowiązki prezydenta Roberto Michelletego i „wymienili” sześciu ministrów. Brutalnie potraktowali ambasadorów kilku państw, w tym Wenezueli i Ekwadoru. Wprowadzili godzinę policyjną, zamknęli część

mediów, a do walki ze stopniowo rosnącą grupą zwolenników obalonego polityka, używają ostrej amunicji i gazu łzawiącego. I tak mają szczęście, że protesty są bardzo spokojne jak na Amerykę Łacińską. Miesiąc temu w Peru podczas protestów przeciwko reformom gospodarczym zginęło blisko sto osób. W Hondurasie, po zamachu stanu, jak poinformowano, zginęły dwie osoby.

Notabene, rodzice obecnego tymczasowego prezydenta, byli Włochami. Etniczność może nie być decydująca w polityce, ale po każdym zamachu stanu sytuacja jest bardzo napięta i czasem drobny szczegół może wywołać eskalację konfliktu. Z jakiego powodu o kolorze skóry nowego prezydenta warto wspomnieć? Dlatego, że społeczeństwo Hondurasu to w 90% Metysi. Biała jest tylko co setna osoba.

Dlaczego przeciwnicy prezydenta sami zrobili sobie tak kiepską reklamę i dodatkowo obrócili inne państwa przeciwko sobie? Być może w pośpiechu źle zaplanowali strategię działania. Mogli przekalkulować światową niechęć do sprzymierzeńców Chaveza. Może już na samym początku zamachu popełniono błąd, przez nadgorliwość wojskowych, prezydenta wyrzucono z kraju zamiast go aresztować, a potem za późno było, by to naprawić? Nad odpowiedzią sami się pewnie zastanawiają, odczuwając skutki światowej izolacji.

CZY USA COŚ KRĘCIŁO?

Gdy w Ameryce Łacińskiej dochodzi do przewrotu, oczy opinii publicznej podejrzliwie spoglądają na Stany Zjednoczone. Tak jest także i tym razem. USA ma na rękach krew tysięcy Latynosów, którzy zginęli pod rządami tyranów wspieranych dolarami w imię „walki z komunizmem”. Smaczku sytuacji w Hondurasie dodaje fakt, że generał Vasquez jest absolwentem okrytej złą sławą Szkoły Ameryk (School of Americas). Instytucja ta edukowała tak „noble postacie” jak Augusto Pinochet, Manuel Noriega czy Hugo Banzer. Uczyli się tam między innymi sztuki prowadzenia przesłuchań (czytaj: tortur)

oraz organizacji przewrotów. Listy ich ofiar zdają się nie mieć końca.

Naturalnym jest więc, że wiele podejrzeń pada na Stany Zjednoczone. Szczególnie, że USA nie lubią nikogo, kto lubi Chaveza.

USA w czasie prezydentury B. Obamy starają się uzyskać zbliżenie z Ameryką łacińską, również tą lewicową. To mogłoby tłumaczyć potępienie zamachowców i żądanie przywrócenia Zelayi. Po co pomagać w obaleniu kogoś, kogo po chwili chcemy widzieć na tym samym miejscu? Cynik mógł powiedzieć, że po to, aby móc pokazać się w roli dobrego sąsiada, który dba o wartości demokratyczne, który w razie potrzeby wspomógł nawet niechcianego prezydenta, gdyby temu przytrafiło się nieszczęście bycia obalonym na swoim własnym podwórku. Dla niektórych latynoskich liderów to mogłoby być całkiem komfortowa świadomość.

Ten argument ma jednak pewną słabość. Niechęć do USA jest w wielu krajach łacińskich bardzo duża, a Latynosi chcą się w końcu uwolnić od wpływów potężnego sąsiada z północy. Dlatego woleliby, żeby Amerykanie trzymali się od polityki ich państw z daleka, nawet jeśli miałyby to być pomoc. To także jest forma zależności. Dlatego najkorzystniejszy dla Stanów, w kontekście ocieplenia stosunków z południem, byłby brak problemów politycznych w tym regionie.

A jeśli jakiegokolwiek wyszłoby na jaw zaangażowanie USA w rozgrywkę w Ameryce łacińskiej, to szansa na poprawę stosunków między mocarstwem a Latynosami byłaby stracona na wiele lat. Zamach stanu w Hondurasie, to wewnętrzny polityczny kryzys, nie wynik międzynarodowej intrygi.

NIEWYPAŁ

Ten zamach stanu, w dłuższej perspektywie, nie zakończy się pomyślnie dla jego twórców. Honduras jest odizolowany politycznie, a co gorsza gospodarczo. Dla tak biednego państwa

to znaczny problem. Państwa nie będą mogły uznać rządu, który już określiły jako nielegalny.

Po naciskach ze strony Hilary Clinton podczas wtorkowego spotkania z Zelayą w Waszyngtonie, zgodzono się na przystąpienie do negocjacji z pomocą mediatora, prezydenta Kostaryki Oskara Pariasasa. I chociaż Zelaya i Michelletti utwardzają się w swoich deklaracjach – pierwszy chce wrócić do kraju i na stanowisko, drugi to wyklucza – trudno oprzeć się wrażeniu, że lepiej dla puczystów będzie, jeśli zaczną szukować sobie jakąś strategię wyjścia z tej sytuacji. Rząd, z którym nikt nie chce rozmawiać, nie będzie w stanie sprawować władzy w nieskończoność, będzie musiał ustąpić. Pod naciskiem własnych obywateli, rebelii wojskowej, a może nawet obcej interwencji, którą już odgrażały się Wenezuela i Ekwador.

Politycy narobili bałaganu. Chociaż pewno wyjdą z tego wszystkiego bez szwanku. Jeszcze jakiś czas będą się sprzeczać, podburzać i obrażać. W końcu, puczyści dostaną azyl w jakimś sąsiednim państwie, Zelaya wróci na urząd. Chavez będzie się chlubił, że stanął w obronie słabszego i demokracji, Obama ucieszy się, że nie musiał się zbytnio pobrudzić. Latynosi przeżyją parę chwil grozy, odżyją wspomnienia zamachów stanu z zeszłego wieku. Najbardziej na tym wszystkim ucierpią zwykli Honduranie.

Kryształowa kula nie ujawnia przyszłości, ale ten nieporadny przewrót prawdopodobnie niedługo przejdzie do historii. Pokazał on jednak coś ważnego. Ameryka łacińska to nadal bardzo niestabilny region, który jeszcze nie wyleczył się z rozwiązywania kryzysów politycznych przy pomocy wojska.

Pozostaje pocieszać się tym, że ulice Tegucigalpy, stolicy Hondurasu, nie spłynęły krwią.

Autor: Michał Staniul

Źródło: [Dziennikarstwo Obywatelskie](#)